Święta Bożego Narodzenia w naszym polskim domu. Łódź lata 50. XX w.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Barbara M.J.Kukulska

Johannesburg, Republika Południowej Afryki

Wspomnieniem sięgam do mojego domu rodzinnego. W naszym domu mieszkało wiele osób, choć praktycznie była nas czwórka; rodzice, mój starszy brat Zbyszek i ja. Jednak zawsze gościł ktoś potrzebujący pomocy.

Mieszkanie w kamienicy w Łodzi było metrażowo duże, ale znajdowały się tylko trzy pokoje i rozmieszczenie dodatkowych osób wymagało specjalnego ustawienia mebli. W tym była niezastąpiona moja matka, która potrafiła w parę godzin

całkowicie poprzestawiać ciężkie meble w całym mieszkaniu, czym doprowadzała mnie do rozpaczy, gdyż gubiłam się! Tylko miarowe cykanie i wybijanie godzin, dawało znać gdzie znajduje się olbrzymi wahadłowy zegar. Uspokajało, że jednak to jest moje mieszkanie.

Zanim poszłam do szkoły, przez kilka lat mieszkała z nami babunia Zofia, urodzona warszawianka, ale dorosłe życie spędziła w Poznaniu. Posługiwała się językiem niemieckim biegle, tak jak polskim i kiedy byłyśmy same bardzo często mówiła do mnie po niemiecku, aby mnie nauczyć tego języka. Rodzice niechętnie na to patrzyli, gdyż uważali, że w pierwszym rzędzie powinnam znać język ojczysty. Babunia zaprzestała rozmów po niemiecku, ale nauka nie poszła w las i dużo później okazało się, że znam ten język.

Znajomość języka niemieckiego miała kolosalne znaczenie właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. W tych ciężkich czasach przełomu lat 50. zeszłego stulecia, niezwykle trudno było zdobyć jakiekolwiek prezenty. Dlatego kilka miesięcy wcześniej jak coś pokazało się w sklepie, rodzice kupowali i chowali skrzętnie przed nami, aby nam zrobić niespodziankę w wieczór wigilijny. Po kupnie prezentu dorośli dyskutowali, co komu dadzą. Śmieszne dla mnie było to, że mówili otwarcie w obecności dzieci, myśląc, że porozumiewają się „sekretnym językiem” czyli po niemiecku, a my nic z tego nie rozumiemy.

Powiem szczerze, dziwiłam się mając cztery lata, dlaczego przy mnie omawiają różne tajemne sprawy i zaznaczają, że nie wolno o tym mówić Basi! I tak filozofowałam, że doprawdy trudno zrozumieć dorosłych, a szczególnie moich rodziców! Zatem, aby nie zrobić im przykrości, grałam razem z nimi, że nic nie rozumiem i nic nie wiem! Pocieszałam się, że może ktoś z dalszej rodziny prześle paczkę, czy przyjedzie na święta z prawdziwą niespodzianką. Rozpalało to moją wyobraźnię, co dostanę i nawet jeśli wiedziałam, że będzie to upragniona laleczka, to w myśli tworzyłam obrazy uszytych dla niej sukienek.

Krótko po II wojnie światowej nie przelewało się nikomu. A jednak święta obchodzone były nadzwyczaj uroczyście i miały swój niepowtarzalny urok.



Już co najmniej miesiąc wcześniej w każdym domu przystępowało się do wykonywania ozdób na choinkę: łańcuchów sklejanych z kolorowych papierków, gwiazdek i koszyczków plecionych z białych paseczków, malowania wydmuszek z jajek i robienie z nich lalek i pajaców do wieszania na choinkę. Na czubku drzewka koniecznie musiała być zamieszczona gwiazda symbolizująca gwiazdę betlejemską. Im bardziej była okazała, tym więcej pochwał dostawali gospodarze od gości odwiedzających w czasie świąt.

Najwięcej starania pochłaniało przygotowanie szopki. Nie na próżno się mówi, że „potrzeba jest matką wynalazków". Zupełnie nie mogłam zrozumieć intencji mojej babuni Zofii, kiedy powiedziała, że przygotujemy szopkę betlejemską, ale wpierw musimy iść na targ. Wybrałyśmy się na Zielony Rynek, a tam było pełno wozów ze wsi z różnymi towarami: gdakające kury i piejące koguty w koszykach, jajka, ziemniaki, sery, mąka, kasze w dużych worach, a na końcu rynku: stały stłoczone beczące owce i kozy.

Babunia podeszła do wieśniaczki i poprosiła o kilka piór i słomę,

a od właściciela owiec dostała trochę runa. Z takimi trofeami wróciłyśmy do domu. Miałam wtedy cztery, może pięć lat i wszystko nadzwyczaj mnie dziwiło.

Siadaliśmy do stołu, na którym poukładane były kromki chleba, kolorowe ścinki tkanin, słoma, sucha trawa, kawałki desek, kolorowe papiery i farby. Najpierw trzeba było użuć chleb, aby stanowił gęstą masę, z której lepiliśmy figurki Rodziny Świętej, Aniołów, pasterzy, zwierząt. Babunia, która malowała piękne obrazy i miała złote ręce do prac artystycznych, kierowała naszymi pracami. Jej postacie były wypracowane, ona też uczyła jak mają być wykonane stroje Matki Boskiej, Świętego Józefa i pasterzy. Każdy chciał ubierać w koszulkę Pana Jezuska, ale babunia wybierała sprawiedliwie tylko ładne i starannie wykonane prace. Lepiliśmy też owieczki i przystrajane były runem, Aniołowie mieli przytwierdzone prawdziwe pióra. Dach stajenki przykryty był słomą, a żłóbek wypełniony aromatyczną trawą. Umocowana była kometa nad stajenką w Betlejem. Podczas wielogodzinnego wspólnego siedzenia, opowiadane było przez dorosłych życie Świętej Rodziny, jazda na osiołku i narodziny Dzieciątka w ubogiej szopie. Słuchałam tych opowiadań z zapartym tchem, jak Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy, a poprzez wspólne tworzenie stajenki betlejemskiej, przeżywałam życie Małego Jezusa jako osoby znanej mi i bliskiej.

Na zakończenie wszyscy uważaliśmy zgodnie, że wykonanie

szopki było najważniejsze i najciekawsze. Szopka była gotowa. Łańcuchy i uplecione gwiazdki czekały w pudełku na dzień wigilijny, kiedy miały zostać powieszone na choince.

Niebywałym wyczynem było zdobycie pachnącego świerku lub jodły. Ponieważ mieszkanie było wysokie na 4,5 metra, więc i choinka musiała prezentować się okazale i sięgać do sufitu! Nie mogliśmy doczekać się na ten upragniony dzień ozdabiania naszego drzewka.



Tradycyjnie cały rytuał rozpoczynał się w godzinach rannych w

wigilię. Zapach iglastego lasu unosił się w całym mieszkaniu zmieszany z aromatami kuchennymi i wypiekami drożdżowych ciast. To wszystko wpływało na atmosferę podniecenia przed najważniejszym momentem dla dzieci: szukania prezentów pozostawionych pod choinką przez świętego Mikołaja. W ozdabianiu drzewka brała udział cała rodzina i przyjaciele. Do umieszczenia na czubku choinki gwiazdy pieczołowicie wykonanej i posypanej brokatem, aby się świeciła, trzeba było użyć wysokiej drabiny, którą mieli nasi sąsiedzi. Przy okazji pożyczania i oddawania drabiny, odwiedzało się sąsiadów składając życzenia.

Na drzewku wypełniającym swoimi rozłożystymi konarami niemalże pół stołowego pokoju wisiały oprócz ręcznie wykonanych ozdób, szklanych błyszczących bombek, również smakołyki: cukierki w kolorowych papierkach, orzechy, wyglansowane i błyszczące czerwone jabłka i inne owoce. Owoce same w sobie były już rarytasem na który można było tylko patrzeć i podziwiać. Aby dostać jabłko z drzewka, musiałam bardzo się starać i zasłużyć na tę nagrodę za dobre zachowanie. Przedtem jednak przez wiele dni wpatrywałam się w smakołyki i ciekła mi ślinka od patrzenia!

Ubrana choinka z zapalonymi woskowymi świeczkami wzbudzała zachwyt nie tylko dzieci, ale dorośli też byli pod urokiem tego wigilijnego wieczoru.

Choć czasy były ciężkie i trudno było zdobyć karpia, śledzie, czy szynkę na świąteczny stół, to zawsze w jakiś magiczny sposób udawało się coś kupić.

Bardzo pomocni w dostarczaniu żywności, byli wujostwo Maria i Wacław Tarnowscy, mieszkający w Dobrzelinie pod Kutnem. Wujek przed II wojną światową i po wojnie był głównym udziałowcem w Cukrowni Dobrzelin, gdzie też był zarządcą.

Dzięki hojności wujostwa moi rodzice przetrwali wojnę, a później nie umarli z głodu. Wujek Tarnowski przelał całe uczucia na mnie, po śmierci swojej córki Wandy w kanałach w czasie Powstania Warszawskiego. Byłam adorowana przez tego uroczego starszego pana, który traktował mnie jak prawdziwą damę, choć miałam zaledwie cztery lata!

Biała serweta, siano pod obrusem, udekorowany gałązkami stół, nakrycie dla niespodziewanego gościa (zawsze ktoś przyszedł i trzeba było dostawiać nie tylko talerze, ale i krzesła) oraz na półmiskach potrawy dekoracyjnie ułożone, dawały nastrój wyjątkowy. Tradycyjne potrawy wigilijne przygotowywane były według dawnych rodzinnych receptur. Każdy region Polski miał odrębne zwyczaje i moi rodzice, którzy pochodzili z różnych stron Polski, zawsze uzgadniali, która z potraw będzie serwowana.

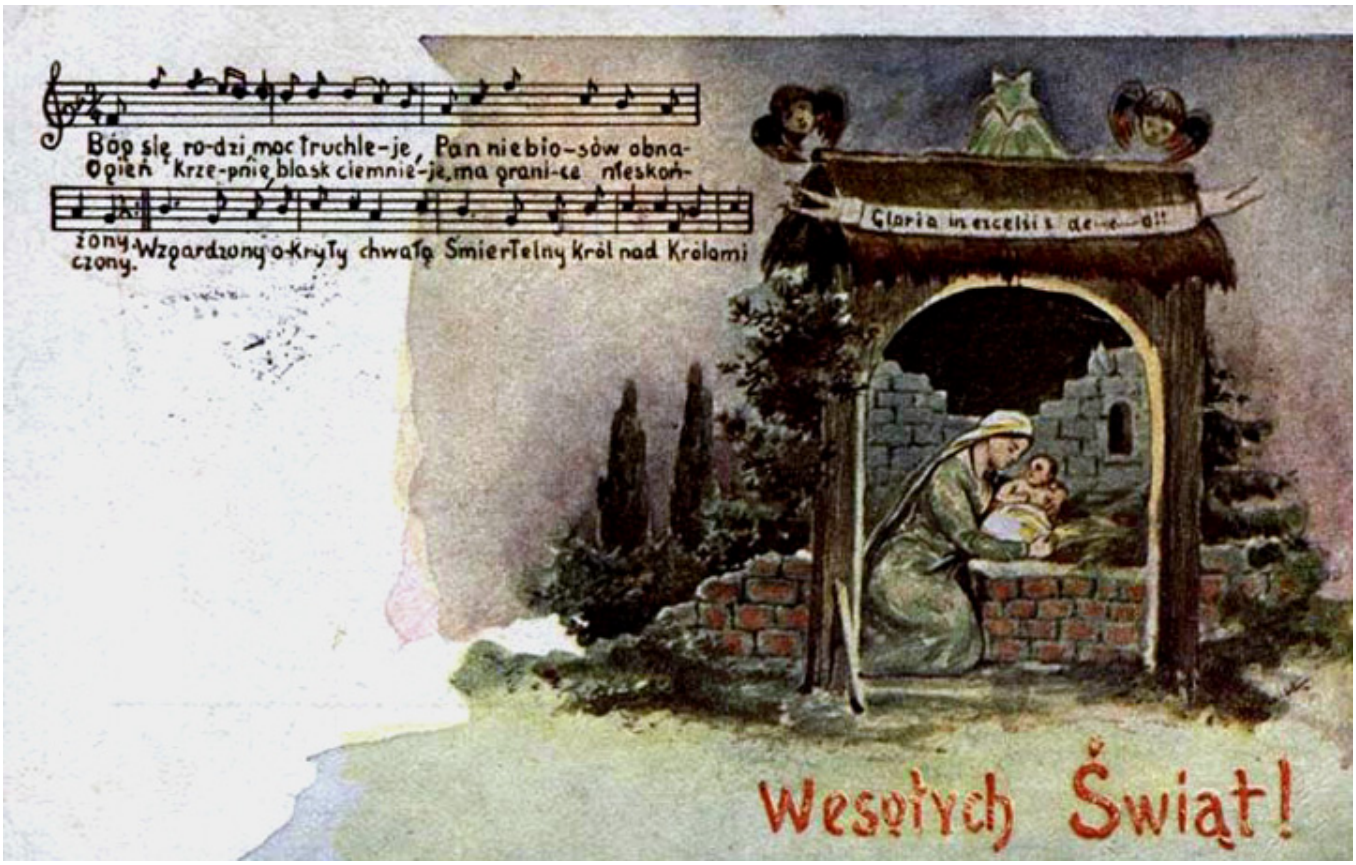

Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Przychodzili goście, aby wspólnie świętować Narodzenie Pana. Bardzo oczekiwani byli wujostwo Brzezińscy mieszkający kilka domów dalej na tej samej ulicy Gdańskiej. Wujek Wacek wykładał w Konserwatorium Muzycznym, które znajdowało się naprzeciw naszej kamienicy. Wujek był synem sławnego profesora Wacława Brzezińskiego, który wylansował śpiewaka Janka Kiepurę. Wujek Wacek miał operowy głos, jego żona Basia pięknie śpiewała i wspólnie z moją matką, która miała sopran koloraturowy tworzyli doskonałe trio. Ktoś z przyjaciół pianistów akompaniował przy zgaszonym świetle. Paliły się świece w lichtarzach pianina i błyszczała choinka z zapalonymi świeczkami. Pełną piersią śpiewaliśmy kolędy i nam dzieciom,

wydawało się, że to śpiewają sami Aniołowie. Nigdy później w moim życiu nie słyszałam tak profesjonalnie wykonanych pieśni bożenarodzeniowych.

Wśród prezentów zostawianych przez świętego Mikołaja zawsze znajdowały się kalendarzyki na następny rok, z życzeniami aby był pomyślny i upłynął spokojnie. Tym „Mikołajem" był mój tatuś, który poprzez pozytywne życzenia prowokował dobry los do spełnienia oczekiwań. Muszę przyznać, że te kalendarzyki były jakby czarodziejskie, tworzyły dobry klimat i pozwalały myśleć o nadchodzącym Nowym Roku jako o zwiastunie nadziei na lepsze jutro.

W okresie Bożego Narodzenia, pod koniec lat 40. XX wieku, Politechnika Łódzka gdzie pracował mój ojciec, urządzała dla dzieci pracowników spotkanie ze świętym Mikołajem, który rozdawał paczki ze słodyczami i owocami. Wielkim luksusem w paczce była pachnąca pomarańcza. Spotkania były bardzo uroczyste. Panowie profesorowie witali się z dziećmi poprzez podanie ręki i elegancki ukłon. Grzecznościowo zamieniali też kilka słów z każdym dzieckiem. Następnie były konkursy recytacji i piosenek. Oklaskami zgromadzeni nagradzali zwycięskie dziecko. A potem poprowadzeni przez wodzireja tworzyliśmy taneczny łańcuch oplatający całą salę balową, która w tym dniu była udekorowana lampionami i łańcuchami. Śpiewaliśmy kolędy i chrupaliśmy orzechy. Spotkania

przygotowane były doskonale. Dopiero parę lat później na skutek oficjalnych komunistycznych zarządzeń, spotkania bożenarodzeniowe zmieniły nazwę na witanie Dziadka Mroza. Nikt z dzieci nie cieszył się już tak jak dawniej, gdy witał nas święty Mikołaj.

Dni świąteczne mijały szybko i wykładnikiem upływającego czasu, była sypiąca igłami choinka. Aż wreszcie, kiedy straciła cały swój majestat i krasę, była rozbierana. Na suchych gałęziach zostały jedynie łańcuchy, białe gwiazdeczki i bombki. Zniknęły owoce, cukierki i orzechy. Część z nich, szczególnie te, które wisiały wysoko, była zdejmowana oficjalnie i w nagrodę obdarowywani byliśmy za dobre zachowanie, jednak znaczna część zniknęła bez śladu, nie wiadomo było czy to ktoś nocą potajemnie zdejmował z drzewka, czy też niby przez nieuwagę „strącił” czerwone jabłuszko.

Mijały święta mojego dzieciństwa, tak długo oczekiwane, ale pamięć związana z przeżyciami i przygotowaniami pozostała na zawsze, jako czas niezwykły, gdy zwierzęta mówią ludzkim głosem, a Aniołowie schodzą z nieba aby spełnić ludzkie życzenia.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.